Nr. 16. Kraków, Niedziela 28 Kwietnia 1901. **Rok III.**

Wszelkie korespondencye, przekazy, komunikaty adresować do:

Redakcyi „Łączności"

Kraków, ulica św. Jana 28.

Ogłoszenia przyjmuje się w Administracyi pisma po cenie 5 cnt. za wiersz petitowy.

Numer pojedynczy kosztuje 5 cnt.

Z Bogiem i z Narodem!

ŁĄCZNOŚĆ

Organ Stronnictwa katolicko-narodowego oraz Związku krajowego katolicko-robotniczych stowarzyszeń.

Wychodzi co tydzień w niedzielę.

Numera pojedyncze nabywać można:

w Krakowie:

w biurze dzienników Hopcasa i Salomonowej; w głównej trafice, w księgarniach Spółki wydawniczej i p. Miłkowskiego.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Nieopieczętowane reklamacye wolne są od opłaty pocztowej.

Biuro Redakcyi otwarte w dnie powszednie od godz. 2—5 popoł.

Prenumerata wynosi: w Austryi z przesyłką: rocznie 2 złr. 50 cnt., półrocznie 1 złr. 25 cnt., kwartalnie 70 cnt.

Kierownik pisma z ramienia Komitetu Redakcyjnego *Józef Anatol Mosch.*

Prenumerata wynosi: Za granicami Austro-Węgier: rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr.

W obronie wiary.

Kompania przeciw katolicyzmowi, prowadzona przez radykałów i żydów wszystkich krajów, przybiera obecnie olbrzymie rozmiary. Król portugalski idąc za wzorem Józefa II., konfiskuje dobra klasztorne i znosi zakony, we Francyi parlament uchwala zgubne dla zakonów i duchowieństwa ustawy, w Rosyi prowadzi się dalej apostolstwo prawosławia wódką, rublem i nahajką, w Austryi szönererowcy, socyaliści i opozycya polska zohydza w Radzie państwa przekonania religijne, a żydowsko-liberalna prasa dopomaga im w tem dziele z niezwykłą gorącością. Zdawałoby się więc, że przynajmniej u nas, gdzie znaczna większość ludności jest szczerze wierzącą, znajdą się gorliwi obrońcy wiary i staną śmiało do walki z zapędami bezwyznaniowców i żydów. Niestety obrońców tych znalazło się niedużo, a jeden z nich, Polak niestety, zamiast podjąć walkę o [illegible]adczył, że wszelka wzmianka o religii w parlamencie jest przestarzałym zabytkiem, archeologiczną skamieniałością, czemś zupełnie zaśniedziałem i spleśniałem. Nie stanął ów mowca na stanowisku, że przeciw protestantom, żydom i ateuszom, napadającym na katolicyzm, postawić należy zbitą falangę wiernych sług Kościoła, nieustraszonych, szczerych i mężnych; nie, ubolewał on tylko, że się w parlamencie wogóle o religii mówi, kiedy przecie instytucya ta oddaną jest li tylko materyalnym interesom ludności.

O wiele szlachetniej i bardziej po katolicku wystąpił opat Treuinfels i baron Morsey z centrum niemieckiego. Nie kryją oni swych przekonań pod korzec, nie wypowiadają bladych, niby to tolerancyjnych a właściwie antywyznaniowych frazesów. Szkoda, że przedstawiciel Koła nie poszedł za ich przykładem. Szkoda, bo przecie w Kole polskiem żywioł szczerze katolicki jest silny i liczny.

Udowodniono mu...

Trybunał kasacyjny odrzucił zażalenie nieważności żyda Leopolda Hilsnera i zatwierdził podwójny wyrok sądu przysięgłych, skazujący go na śmierć przez powieszenie. Jak wiadomo, Hilsner zamordował w Polnej dwie dziewczyny katolickie, Hruzównę i Klimównę, nie z powodów płciowych, bo przy morderstwie pierwszej byli jeszcze inni dwaj żydzi, lecz dla jakiś tajemniczych celów. W trupie Hruzówny nie było nic krwi, gardło było przecięte cięciem rzezackiem, niewinność dziewczyny była nienaruszona, a zatem...

Żydzi z całego świata usiłowali obronić Hilsnera, cała prasa żydowsko-liberalna i socyalistyczna łamała za nim kopie, daremnie. — Trybunał kasacyjny uznał wyrok za sprawiedliwy i Hilsner zawiśnie na szubienicy. Jak wiadomo z rozprawy w Pisku, był Hilsner gorliwym socyalistą, nosił szeroki kapelusz socyalistyczny, utrzymywał bliskie stosunki z agitatorem Czerwenką, nic dziwnego, że socyaliści stanęli jak jeden mąż w obronie mordercy i obelgami miotali na chrześcijańskie pisma, które dosadnie czyny tow. Hilsnera piętnowały.

Powieszenie Hilsnera ma ogromnie doniosłe znaczenie, stanowi bowiem dowód, że są sekciarze żydowscy, którzy mordują bezcelowo napozór, a u trupa nie zostawiają krwi. Tajemnicze morderstwa w Skurczu, Tisza Eszlar, Chojnicach, nie zostały dostatecznie zbadane, władze okazały za dużo miękkości i mordercy nie ponieśli kary. Jeden Hilsner nie miał szczęścia. Wpadł w ręce władzy i zostanie przykładnie ukaranym. Będzie to przestrogą dla żydów na czas wielkanocny.

Co raz cięższe

próby przechodzimy. Donosiliśmy już za »Dz. Pozn.«, że w gimnazyum Maryi Magdaleny zniesiono naukę języka polskiego, takie same wiadomości dochodzą z Gniezna i Inowrocławia w Prusach.

Walka więc przeciwko językowi polskiemu wypowiedziana na całej linii. Szczególnie musi oburzyć wszystkich usunięcie nauki języka polskiego z planu nauk gimnazyum Maryi Magdaleny, które przecież przed 326 laty polskiemi zostało założone funduszami.

Oburzenie nasze jednak nic nam nie pomoże. W Berlinie nie liczą się z tem oburzeniem, nie pomogą ani deputacye, ani petycye — pozostaje jedno: samopomoc.

Swoją drogą należałoby zaprotestować przeciwko temu nowemu uciskowi, aby minister nie mógł odpowiedzieć, gdy posłowie użalać się będą, że przyjęliśmy z zupełną rezygnacyą ten nowy cios, wymierzony przeciw językowi polskiemu. Należy dalej i dlatego przeciwko temu nowemu uciskowi zaprotestować, aby nam z jakiejbądź strony nie zarzucono, że nie wyczerpaliśmy wszystkich środków legalnej obrony. Te protesty bynajmniej nie mają odwodzić od samopomocy. My już od dawna piszemy, że po prusactwie niczego się spodziewać nie możemy i tylko na siebie możemy liczyć.

Prusactwo i przy tym nowym ucisku szukało pozoru. To szukanie pozoru jest charakterystycznem dla całej polityki pruskiej. I w tym razie znaleziono pozór. Słuchajcie, jak tłómaczy nowy ucisk »Pos. Tagenblatt:« »Zmiana ta stała się konieczną po zajściach ostatnich«. To znaczy po rewizyach u gimnazyalistów dokonanych w różnych miastach dzielnic polskich. — Tak rozumuje i tłómaczy »Pos. Tagenblatt«. Tłomaczenie to i rozumowanie jest po prostu marne, idyotyczne.

Cóż bowiem wykryto przy tych rewizyach?

Oto, że młodzież polska uczy się dziejów ojczystych, zaznajamia się z literaturą ojczystą i najznakomitszemi płodami ducha polskiego. Te zajęcia młodzieży mogą się tym tylko wydawać niestósowne, którzy nas nienawidzą. Każdy bowiem rozsądny i bezstronny przyzna, że dla młodzieży lepiej jest, że się uczy ojczystego języka, niżby się miała włóczyć po gospodach i pijackie związki zakładać, co się u Niemców gimnazyalistów często zdarza.

Jakiż jednak wniosek powinien był wyciągnąć pruski pedagog z rezultatu rewizyi u gimnazyalistów? Oto jedynie ten, że Polacy gimnazyaliści naukę języka polskiego w szkołach uważają za zupełnie niedostateczną i dlatego po za szkołą braki tej nauki uzupełniać pragną.

Cóż powinni byli pruscy pedagodzy czynić wobec tego narzucającego im się po prostu wniosku?

Jedyna im pozostawała droga. Jeżeli nie chcieli, aby młodzież po za szkołą zajmowała się nauką języka polskiego, powinni byli **zakres tej nauki rozszerzyć.**

Lecz pruski pedagog ma swoją osobną logikę — logikę, jakiej nigdzie na świecie nie znajdziesz, chyba w niemieckim Schildbergu — oto prusey pedagodzy, zamiast rozszerzyć zakres nauki języka polskiego znoszą ją całkiem. I cóż z tego będzie za skutek? Oto jedynie ten, że młodzież nasza jeszcze pilniej i goręcej będzie musiała się przykładać do nauki dziejów ojczystych i ojczystej literatury po za szkołą.

Widzimy więc, jak marnie i idyotycznie tłomaczą ten nowy cios pisma tego co »Pos. Tagenblatt« pokroju. My wiemy wszyscy dobrze, że jedynym powodem do zniesienia nauki języka polskiego w gimnazyach jest chęć zniemczenia naszej młodzieży. Ale to się zupełnie nie uda. Przeciwnie, te wszystkie szykany i niesprawiedliwości obudzą w nas tem gorętszą miłość dla ojczystego języka i dla sprawy naszej.

Młodzież zaś, której ostatnie okruchy nauki języka polskiego usunięto, tem pilniej będzie się uczyła swego języka i swych dziejów po za szkołą.

Ciągle nam też prawią o ojcowskich rządach pruskich o rzekomych staraniach o nasz byt. No, my codziennie nieomal otrzymujemy dowody tych ojcowskich rządów. A te dowody to plagi i odejmowanie nam chleba, to próby duchowego i cielesnego ogłodzenia.

Niechaj rząd pruski dalej prowadzi swe ojcowskie rządy, my mu w tem przeszkodzić nie możemy, ale niech też nam pozwoli ojcowski rząd pruski, abyśmy mieli dla niego odpowiednie do jego ojcowstwa synowskie uczucia. A już musiałby mieć bardzo twardą skórę ten, coby dziś jeszcze nie odczuł ojcowskiej ręki rządu pruskiego, i ostatnim nędzarzem duchowym musiałby dziś być ten, coby nie zrozumiał dziś jeszcze ojcowskiej troskliwości rządu pruskiego.

Straszna chwila.

(Echo de Paris).

Było to nazajutrz po krwawej bitwie pod Eland Laagte.

Na niewielkiej równinie nad brzegiem rzeki Sunday leżał pogrążony w głębokim śnie John Adams, waleczny kapitan piątego Jej królewskiej Mości pułku ułanów.

Spał snem tak głębokim, jakim spać może tylko człowiek znużony niezmiernym trudem, lub ranny i osłabiony znacznym upływem krwi.

Nawet palące słońce afrykańskie, które prażyło odkrytą głowę Johna Adamsa, nie było w stanie zbudzić go i ostrzedz o grożącem niebezpieczeństwie.

Śpiący był ciężko ranny, jak dowodziła kałuża krwi zapiekłej na ziemi i bandaż na prawej nodze. Wkrótce imię jego miało figurować w liście ofiar, których setki opłakiwała Anglia codziennie.

Zatknięta obok w ziemię lanca rdzawemi okryta plamami, ze zbroczoną krwią chorągiewką wskazywały, że ten człowiek, nad którym krążył już anioł śmierci, sam także siał zniszczenie w szeregach nieprzyjacielskich.

Szelest chorągiewki, poruszanej lekkim wiaterkiem, zwrócił uwagę stojącego w pobliżu na posterunku młodego Boera.

Zbliżył się do śpiącego i wzrok jego spoczął z pogardą na twarzy Anglika. Szyb-

kim ruchem wyciągnął lancę z ziemi i nachyliwszy się, wyjął z zaciśniętych palców nabity rewolwer. Teraz nieprzyjaciel bezbronny był w jego władzy.

Boer wiedział już, kogo ma przed sobą: taki sam mundur i takie same uzbrojenie widział rano na jeńcach, wysłanych do Pretoryi. Owi jeńcy i ten śpiący oficer należeli do tego znienawidzonego przez Boerów pułku ułanów, który odznaczał się ślepą odwagą w boju i zwierzęcem okrucieństwem. Ci sami to ułani zamorzyli głodem wziętych do niewoli Boerów.

Serce młodego wojownika wezbrało nienawiścią i żądzą zemsty... Młodszy brat jego padł wczoraj, przeszyty lancą — być może tego właśnie oficera. I oto teraz Sędzia Najwyższy daje wroga w jego ręce, aby pomścił przelaną drogą mu krew.

— Panie! Niech wzrasta chwała Twoja, niech nieprzyjaciele Twoi w proch się rozsypią! — szepcą usta młodego Boera. Wziął w obydwie ręce karabin, wzniósł w górę, aby jednem uderzeniem strzaskać czaszkę wroga. Wolałby zastrzelić go, lecz huk wystrzału zwróciłby uwagę straży angielskich; zmęczony koń nie zdołałby go ocalić przed pościgiem ułanów, którzy zamorzyliby go głodem.

Zanim zdążył opuścić kolbę na głowę śpiącego oficera, zauważył leżącą obok niewielką książeczkę. Schylił się i podniósł. Był to krótki modlitewnik dla wyznawców kościoła angielskiego. Na pierwszej kartce widniał podpis: «John Adams, kapitan piątego J. K. M. pułku ułanów».

— Synowie Beljala! Faryzeusze obłudni! — wyszeptał Boer i po chwili z ust jego popłynęły cicho ponure dźwięki psalmu, który śpiewały niegdyś pułki kromwelowe w bitwie pod Dunbarem: «Pan potęgą swoją zetrze łby smoku stugłowego!»

Chciał machinalnie wsunąć do kieszeni modlitewnik, gdy nagle z pomiędzy kartek wypadł jakiś przedmiot, owinięty w papier. Zaciekawiony podniósł, rozwinął i oczom jego ukazała się miniatura ślicznej złotowłosej, a ciemnookiej dziewczynki trzechletniej...

Co za przeciwieństwo. Ta twarzyczka dziecięca, jakby otoczona aureolą niewinności i to krwawe pobojowisko!... Boer zamyślił się smutnie.

Daleko, daleko, w cichym zakątku Transvaalu, dokąd nie dochodzą dzikie okrzyki łupieżców, gdzie nie świeci łuna pożarów, tam w białym domku pozostały dwa jego skarby najdroższe: młoda żona i jasnowłosa, z błękitnemi oczkami dziewczynka.

Dokoła niego padają codziennie tysiące ofiar wojny, on z krwawych bojów zawsze wychodził dotąd obronną ręką. Bóg zachował go, gdyż codziennie płyną z białego domku modły za nim z niewinnych ustek dziecięcych.

Twarde serce żołnierza poczęło mięknąć. Spojrzał znowu na miniaturę.

— To zapewne córeczka Anglika!

Na odwrotnej stronie fotografii przeczytał ręką męzką skreślone słowa: «Moja maleńka Alicya».

Boer zmienił nagle zamiar.

— Nie zabiję go śpiącego — pomyślał — żal mi tego maleństwa... Obudzę go, niech pomodli się do Stwórcy za grzeszną duszę swoją.

Pochylił się nad śpiącym i zawołał:

— Zbudź się, kapitanie Adams!

(Dokończenie nastąpi).

Jak Aguinaldo dostał się do niewoli?

Sposób, w jaki Amerykanie urzeczywistnili dawno upragnione marzenie dostania w swoje ręce dzielnego i upartego przywódzcy powstańców na Filipinach, Aguinalda, niezbyt wielki zaszczyt przynosi oficerom amerykańskim. Okazuje się bowiem, że przy uskutecznieniu swoich zamysłów posługiwali się nietylko hojnie pieniędzmi, ażeby przekupić rodaków i towarzyszy Aguinalda, co zresztą w czasie wojny nie jest uważane za rzecz zdrożną, ale uciekli się w celu podejścia nieugiętego wroga, do zwyczajnego fałszerstwa. Pułkownik amerykański Funston, który był głównym sprawcą tego »bohaterskiego« czynu i za to posunięty został na generała brygady, tak opisuje w jednem z pism amerykańskich wzięcie do niewoli Aguinalda:

Dzięki przekupieniu jednego z oficerów z otoczenia Aguinalda, udało mu się otrzymać list, w którym dowódzca powstańców prosił jednego z podwładnych generałów o przysłanie mu 400 ludzi posiłków. Przy zdobyciu przez pułkownika Funstona przed kilku miesiącami obozu generała powstańców Lacuny, wpadła mu w ręce pieczęć jego i kilka listów z własnoręcznemi podpisami. Ponieważ Aguinaldo o losie gener. Lacuny nie wiedział, ułożono, na podstawie znalezionego w zdobytym obozie materyału, dwa listy: jeden z nich obejmował raport, rozumie się błędny, z operacyi wojennych, drugi donosił, że stosownie do życzenia otrzyma Aguinaldo wkrótce 400 najlepszych żołnierzy. Aguinaldo nie mógł ani na chwilę wątpić o prawdziwości listów, zaopatrzonych w urzędowe pieczęcie generała i w podpisy rozumie się bardzo zgrabnie sfałszowane.

Upewniwszy się, że Aguinaldo listy otrzymał, zebrał pułkownik 400 żołnierzy, przebrał ich jak powstańców i zaopatrzył w broń; towarzyszyli mu 3 oficerowie amerykańscy, w tej liczbie sam Funston. Przekupieni przez amerykanów oficerowie filipińscy objęli pozornie dowództwo nad oddziałem; oficerowie amerykańscy uchodzić mieli za jeńców wojennych.

Przedstawiciel rządu filipińskiego w Casiguran uwierzył w opowiadanie o jeńcach amerykańskich i przesłał sfałszowane listy Lacuny do Aguinalda, który się znajdował o 150 kilometrów dalej w Palonan.

Po trzydniowym pobycie w Casiguran, w czasie którego oficerowie amerykańscy, jak prawdziwi więźniowie siedzieli pod kluczem, ruszył oddział dalej, dalej, ku Polonan. Droga prowadziła przez okolicę, bardzo trudną do przebycia: trzeba było przejść wysokie i strome góry i głębokie rzeki, nadto oddział cierpieć musiał dotkliwy głód.

W odległości 13 klm. od Palonan większa część oddziału była tak wyczerpana, że musiano posłać do obozu Aguinalda po żywność.

Następnego dnia odbył się uroczysty wjazd do obozu Aguinalda, który na powitanie oddziału ustawił przed swoim domem wartę przyboczną z 50 ludzi w odświętnych mundurach. Ujęci jakoby przez filipińczyków oficerowie amerykańscy zaproszeni zostali do domu Aguinalda. Gdy jeden z adjutantów przywódzcy powstańców zbyt badawczo przyglądał się przybyłym, stojący opodal oficer hiszpański, dowodzący przekupionym oddziałem, a sam również przekupiony, by podstęp nie został zawcześnie odkryty, zawołał:

Dalej chłopcy! Naprzód

Rozległy się strzały. Przyprowadzeni przez amerykanów żołnierze, strzelali, na szczęście tak źle, że zabili 3 żołnierzy filipińskich.

Aguinaldo, nie domyślając się jeszcze podstępu, a przypuszczając, że są to salwy powitalne, wyjrzał oknem i upomniał żołnierzy, by tak hojnie nie szafowali amunicyą. W tej chwili przystąpił doń jeden z mniemanych jeńców i pochwyciwszy go za ramiona, zawołał:

Jesteś jeńcem amerykańskim!

Aguinaldo był na razie bardzo wzburzony, uspokoił się jednak, gdy się dowiedział, że się z nim dobrze będą obchodzili.

Z naszych stowarzyszeń.

Przyjaźń krakowska jak każdego roku, tak i w bieżącym d. 21 kwietnia obchodziła uroczystość święconego. Nastrój poważny a serdeczny cechował zejście się przy skromnej zastawie. Parę przemówień dotyczących spraw stowarzyszenia nacechowane życzliwością i rozwijające plany na przyszłość zainteresowały zgromadzonych. Trzy godziny przy pogadance niepostrzeżenie przebiegły, zostawiając miłe wrażenie — a pora chociaż nie nowych myśli lecz bliżej omawianych, znów przypomniała o pracy organicznej.

Krakowski Związek okręgowy stowarzyszeń katol. rzemieśl.-robotniczych w myśl statutu ukonstytuował się. Delegaci stowarzyszeń agregowanych wybrali prezesem p. Szatkowskiego Władysława, I. zast. pr. Zieleniewskiego Edmunda, II. zast. prezesa Wróbla Ignacego, sekretarzem p. Feliksa Walezego Piaseckiego, skarbnikiem p. Makowieckiego Piotra. Do rady w komitecie wykonawczym wybrani: p. Kisielewski, Wiel. ks. kan. Łabaj Jan, p. Redyk Wiktor, przew. ks. prał. Skrzyński Henryk, p. Zydroń Antoni, p. Zubrzycki Edmund. Komisyę kontrolującą stanowią Wiel. ks. dr. Ryłko, pp. Kisielewski i Zubrzycki. Zebrania komitetu odbywają się raz na miesiąc.

Bezpłatnej porady prawnej udziela w każdy poniedziałek i czwartek od 6—8 wieczorem Wny dr. Wronka w kancelaryi Związku ul. św. Tomasza l. 37. Potrzebujący porady legitymuje się zaświadczeniem swego stowarzyszenia, że jest członkiem czynnym. Wny dr. Wronka w razie danym zastępuje strony w sprawach cywilnych wobec sądu i innych władz.

Krakowski Związek okręgowy stowarzyszeń katolickich rzemieśl.-robotniczych na posiedzeniu swem w d. 24 kwietnia uchwalił przyjąć udział w zjeździe, wysełając trzech delegatów, a komunikując nadesłaną odezwę pokrewnych stowarzyszeń we Lwowie z d. 15 kwietnia, serdecznie zachęca katolickie bratnie stowarzyszenia w zachodniej Galicyi do przyjęcia udziału w zjeździe. W danym razie stowarzyszenie zechce szczególowo, jak wymaga okólnik zawiadomić podpisane wydziały Przyjaźni i Jedności we Lwowie. Krakowski zaś Związek ogólnikowo.

Odezwa! Dnia 26-go i 27-go maja b. r. odbędzie się uroczyste poświęcenie sztandaru katol. zarejestrowanej kasy zapomogowej «Przyjaźń» i stow. kat. robotników «Jedność». Jeden dzień poświęconym będzie obradom nad skupieniem i dalszą organizacyą narodowych robotników w kraju. Nie potrzebujemy chyba dodawać, jak ważne znaczenie mają zjazdy delegatów bratnich stowarzyszeń.

Wzajemna wymiana myśli, zespolenie dokładne poznanie sił, oraz środków, jakimi rozporządzamy, jest koniecznem, aby dalsza nasza akcya przyniosła pomyślne rezultaty. Dlatego żywimy przekonanie, że P. T. Wydział zechce dołożyć starań, aby Reprezentanci szanownego Stowarzyszenia przybyli na ten bratni obchód do Lwowa i wzięli udział w obradach. W tej nadziei upraszamy o jak najrychlejsze danie odpowiedzi na następujące pytania:

1. Czy szan. Stowarzyszenie wyśle delegata? a jeżeli nie, z jakich powodów?

2. Ilu delegatów będzie reprezentować szan. Stowarzyszenie?

3. Imię i nazwisko oraz zawód delegata, względnie delegatów?

4. Czy delegat(ci) reflektuje(ą) na wyszukanie mu (im) bezpłatnego mieszkania przez 2 dni pobytu we Lwowie?

5. Czy delegat zamierza mieć referat, lub tylko zabrać głos w dyskusyi, ewentualnie w jakiej sprawie?

6. Czy delegaci zamierzają postawić samodzielne wnioski i jakiej treści?

Zastrzegając sobie prawo ułożenia programu uroczystego obchodu i porządku obrad, upraszamy o nadesłanie odpowiedzi na powyższe zapytania najdalej do dnia 1 maja 1901 pod adresem: Redakcya «Jedności», Lwów, Chorążczyzna l. 10, lub: Kat. stow. robotników «Jedność», Lwów, Rynek l. 9.

W celu zamówienia pewnej z góry oznaczonej już liczby gwoździ, oraz wyrycia na nich nazw pokrewnych towarzystw, upraszamy o objawienie zdania, czy stowarzyszenie życzy sobie wbić gwóźdź, a jeżeli tak, prosimy o podanie dokładnego tytułu stowarzyszenia.

Szczegółowy program całej uroczystości poświęcenia sztandaru, jako też porządek obrad delegatów zostanie poszczególnym stowarzyszeniom później do wiadomości podany.

Wydziały «Przyjaźni» i «Jedności»:

Miszczyszyn Stanisław, Karasek Józef, Müller Bernard, Panek Franciszek.

Każdy delegat musi posiadać legitymacyę wystawioną przez Zarząd odnośnego stowarzyszenia i odznakę stowarzyszenia używaną przy uroczystych występach.

Przyjaźń nowosądecka obchodziła w dniu 14 kwietnia b. r. o godzinie 5 popołudniu wspólne święcone. W pośród zastawionych stołów, wielce czcigodny ks. rektor Boc, a kurator «Przyjaźni» dokonał poświęcenia

darów Bożych, poczem na temat zmartwychwstania Chrystusa Pana, bardzo pięknie a czule przemówił do zebranych. Wśród zebranych a zaproszonych gości i członków, widzieliśmy p. nadinżyniera kolejowego Jelonka, p. Jeleńskiego i wiele innych zacnych i przychylnych osób. Po przemówieniu, obecni zasiedli do zastawionych darów, poczem pierwszy toast wniósł prezes na cześć gości, a wielm. p. Jelonek na pomyślność «Przyjaźni». Zaś przyj. Sikora i Skibicki przemawiali na temat patryotyczny i złączenia braci rusinów, a Staroszczuk i Pelech odśpiewali po rusku Christos Woskres ku zadowoleniu ogółu. Wszyscy zaś obecni na zakończenie odśpiewali «Wesoły nam dziś dzień nastał», poczem rozeszli się, unosząc dobre myśli i spędziwszy przyjemne chwile w «Przyjaźni».

U nas i za granicą.

O Macedonię. Komitet centralny macedoński, rezydujący w Sofii, został wraz z prezesem jego, Sarafowem, na czele, uwięziony; w mieszkaniach uwięzionych i podejrzanych, z których wielu nie zastano już w domach, dokonano ścisłej rewizyi. Według jednej wersyi, rewizye te nie wydały żadnego rezultatu, według innej, znaleziono nader kompromitujące papiery.

Bez względu na to, władze bułgarskie i tureckie są w posiadaniu dokumentów, rzucających światło na silnie zorganizowany i szeroko rozgałęziony spisek, a między innemi znajduje się w ich ręku cały statut organizacyi rewolucyjnej.

Statut ten ustanawia liczne komitety, zostające pod władzą komitetu centralnego, których zadaniem jest szerzenie idei rewolucyjnej i tworzenie małych, ale licznych oddziałów. Zawiera nader ostre przepisy, mające na celu utrzymanie karności w oddziałach i wogóle między spiskowymi. Rozkazom komitetu centralnego wszyscy winni ślepe posłuszeństwo. Za cień choćby krnąbrności albo zdrady czeka winowajcę kara śmierci, która winna być bezwzględnie i natychmiast wykonana.

Słowem, organizacya była dobrze obmyślana, a przepisy jej były ściśle wykonywane. Nikt też nie zdradził komitetu centralnego, ani jego planów; zdradziła je nieostrożność samego komitetu, który emisaryuszom i organizatorom powierzał ważne dokumenty piśmienne, nie bacząc na to, że ludzie ci narażeni są na pochwycenie lub śmierć z ręki Turków. Nieostrożność ta niebawem zrobiła swoje: przy zabitych i pochwyconych Turcy znaleźli owe dokumenty, i cały spisek ujawnił się niby na dłoni.

Zdaje się, że wskutek tego Sarafow postanowił przyspieszyć wybuch i wydał wszystkim komitetom w Macedonii rozkaz ogólnego rzucenia się na Turków. Jakim sposobem i od kogo o postanowieniu tem dowiedzieli się rząd bułgarski i rezydenci rządów zagranicznych w Sofii, nie wiadomo; zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że wiadomość ta skłoniła ostatecznie rząd bułgarski do chwycenia się energicznych środków, których się prawdopodobnie komitet po nim nie spodziewał.

Może też na postanowienie księcia Ferdynanda, który poprzednio nie był wcale niechętnie dla komitetu usposobiony, wpłynęły wywodzenia Sarafowa, który przed jednym z dziennikarzy rosyjskich oświadczył, że on i spiskowcy nie myślą wcale o przyłączeniu Macedonii do Bułgaryi; że Macedonia dla Macedończyków, i osobny słowiański organizm polityczny na półwyspie Bałkańskim utworzyć winna.

Zawiedziony w swych nadziejach, książę skwapliwie teraz posłuchał rad mocarstw, pragnących utrzymania spokoju na półwyspie i energicznie zabrał się do ukręcenia głowy sprzysiężeniu, które mu, jak się przekonał, żadnych nie obiecuje korzyści. Czy mu ją ukręci na dobre, to się jeszcze pokaże; Macedończycy bowiem, zamieszkali w Bułgaryi, zwołali się na wiec, który zaprotestował przeciwko aresztowaniu komitetu i uchwalił rezolucyę, według której, mimo aresztowania komitetu, ma się odbyć zapowiedziany poprzednio kongres rewolucyonistów.

Z Afryki południowej. Dzienniki angielskie podają bliższe szczegóły zajęcia Pieterburga przez Anglików: Po zerwaniu układów pokojowych z Botką, generał Plumer wyruszył w marszach pospiesznych ku północy i zajął bez walki dotychczasową siedzibę rządu transwaalskiego, miasto Pieterburg, a tem samem reszta toru kolejowego w obu republikach boerskich dostała się w ręce Anglików, — gdyż Pieterburg leży na samym krańcu linii kolejowej. Rząd boerski, z Schalkiem Burgherem na czele, cofnął się w niedostępne góry Zoutpansberge, ciągnące się prawej stronie Pieterburga ku północy, aż do rzeki Krokodylej. W tymczasowej stolicy Transwaalu Anglicy znaleźli tylko kilka lokomotyw; zresztą wyprawa nie zapewniła im żadnych korzyści praktycznych. Widocznie Boerowie dowiedzieli się zawczasu o marszu Plumera i zdołali swe zapasy żywności i amunicyi unieść z sobą w góry Zoutpansberskie.

W każdym razie Anglicy posunęli się 230 mil dalej w głąb kraju i posiadają obecnie znaczne siły zbrojne w tych okolicach, w których wyparte z południa oddziały boerskie znajdowały zawsze bezpieczne schronienie, mogły wypocząć i zorganizować się na nowo.

Standard donosi z Brukseli, że prezydent Krüger ma zamiar wnieść do sądu rozjemczego w Hadze memoryał w sprawie południowo afrykańskiej. Prezydent Schalk Burgher wraz z członkami rządu transwaalskiego znajduje się obecnie w Rossenekal koło Leydsdorpu. Lord Kitchener telegrafuje z Pretoryi, że gen. Babington rozbił pod Kleardorp oddział Boerów. Sześćdziesięciu Boerów dostało się do niewoli; wielkie zapasy żywności i amunicyi dostały się w ręce angielskie.

De Wet znajduje się obecnie w Transwaalu. Zamierza on zająć Tabaksberg. Rozeszła się po Londynie pogłoska, jakoby Boerom udało się wziąć do niewoli generała Frencha wraz z 500 żołnierzami. Sfery urzędowe zaprzeczają jednak temu.

KRONIKA.

J. Em. Kardynał biskup krakowski Puzyna, otrzymał we czwartek biret kardynalski z rąk cesarza w Budapeszcie i wśród ogromnego entuzyazmu publiczności przybył w piątek wieczorem do Krakowa. Na dworcu oczekiwali nowego dostojnika kościelnego przedstawiciele władz i instytucyj, duchowieństwo i tysiące ludności. Na Wawelu odezwał się stary Zygmunt, witając naszego ulubionego Arcypasterza. Uroczystość miała cechę bardzo podniosłą.

Budowa dróg wodnych w Galicyi. Z Wiednia donosi «Czas». Odbyła się konferencya prezesa gabinetu Körbera z komisyą parlamentarną Koła polskiego w sprawie budowy kanałów. Körber dawał rozmaite wyjaśnienia co do zamierzonej sieci kanałowej.

Galicya otrzyma połączenie z siecią kanałów całego państwa w ten sposób, że drogi wodne galicyjskie sięgać będą aż do punktu spławności Dniestru jak najbliżej granicy bukowińskiej. Udział finansowy krajów będzie tylko ogólnikowo oznaczony, gdyż dopiero po przyjęciu ustawy rząd wdroży rokowania w tej sprawie ze wszystkiemi krajami. Budowa rozpocznie się jednocześnie we wszystkich krajach. W Galicyi będą budowane częścią kanały, częścią ich połączenia ze spławnemi i usplawnionemi rzekami. Na pytanie, czy rzeki galicyjskie otrzymają takie samo pogłębienie, co rzeki i kanały innych prowincyi, odpowiedział dr. Körber, że to się rozumie samo przez się. Co się tyczy połączenia stolic z kanałami, minister uznaje jego potrzebę, sprawa ta jednakże nie będzie objęta ustawą.

Budowa kanałów rozpocznie się w roku 1904 i trwać będzie 20 lat. Członkowie komisyi wyszli z konferencyi zadowoleni.

O fajce. Nałóg palenia cygar czy papierosów lub też używania fajki jest niemal powszechny i rzadko znaleźć człowieka, który wolnym jest od tej namiętności. Lekarze stanowczo jednak utrzymują, że używanie fajki o wiele mniej jest szkodliwem, jak palenie cygar a nawet papierosów.

Dawniej, w każdym niemal domu znajdowała się formalna kolekcya fajek i cybuchów, dziś jednak rzadko ich kto używa — idą one pomału w zapomnienie.

Największy i najpiękniejszy zbiór fajek na świecie, należy do anglika, kapitana Bragge. Zawiera on 5.000 sztuk. Są tam drewniane fajki szwajcarskie kunsztownie rzeźbione, fajki niemieckie z saskiej porcelany, ruskie ze srebra i malachitu, starożytne fajki francuskie wyrobione z nieznanych gatunków drzewa, tureckie fajki, cybuchy i nargile z gliny, szkła i różnych kruszców, szwedzkie z miedzi i kamieni, włoskie odwieczne fajki z terrakoty i drzewa oliwnego, hiszpańskie fajki piankowe, z których może palili Maurowie, afrykańskie, przywiezione przez kupców z głębi Czarnego Lądu, chińskie fajki z czasów przedhistorycznych, indyjskie palone w świątyniach, meksykańskie z osobliwej glinki i kamieni, — jednem słowem — jest to zbiór jedyny w całym świecie. Brakuje w nim tylko najkosztowniejszej fajki, będącej własnością szacha perskiego, której wartość wynosi przeszło milion koron.

Socyaliści niemieccy mają niemało kłopotu ze znaną Różą Luxemburg, figurką małą, ale tak zajadłą i zaciętą socyalistką, że jej wszystko za mało, co partya socyalistyczna robi. Co chwila zabiera ona głos w rozmaitych gazetach i wygaduje na socyalistów, co się zowie. Zajmowała się też ona socyalistami polskimi, ale w końcu porzuciła ich i dała im do zrozumienia, że przedstawiają za mało rozumu i inteligencyi, żeby warto się nimi zajmować. «Gazeta robotnicza» swego czasu napisała długi artykuł w którym wyrażała swą radość, że pozyskała tak cenną siłę, jak Różę Luxemburg. Niedługo trwało, a ta sama «Gazeta robotnicza» znów wyparła się panny Róży Luxemburg. Pewnie będzie tak, że Róża Luxemburg najpierw wyparła się «Gazety rob.», a tej potem nie pozostało nic innego, jak tylko też się wyprzeć panny Róży.

Teraz znów ta sama panna Róża zamieściła w «Neue Zeit» artykuł, w którym wyzwała socyalistów bawarskich i dała im do zrozumienia, że nie zasługują właściwie na nazwę socyalistycznych posłów, tylko socyalistycznych baranów, ponieważ w sejmie bawarskim głosowali za etatem państwowym. Zdaniem panny Róży należy zwoływać zebrania i na nich tym socyalistycznym baranom dać surową naganę.

Tego widocznie było za wiele pp. socyalistom, bo dziennik ich «Volksfreund» w ten sposób wystąpił przeciwko pannie Róży: Pannie Luxemburg strzelił znów bąk w nosie i daje susy rewolucyjne. Możnaby właściwie to pominąć. Jest to jednak niesłychanym wypadkiem w partyi, że towarzysze, którzy w służbie swej posiwieli, którzy nad zasadami socyalistycznemi pracowali już wtedy, kiedy panny Róży nie było jeszcze na świecie, bywają w tak zuchwały i ordynarny sposób zaczepiani. Ubolewać należy, że znajdują się jeszcze pisma, które dają gościnność w swych łamach literackim plewom tej panny. Największy już czas, żeby z góry wystąpić przeciwko takim zawalidrogom, jak panna Róża Luxemburg.

Szpital dla ptaków założony został przez dr. Walla w Londynie i urządzony według wszelkich nowoczesnych wymagań higieny. Jest więc sala operacyjna z wzorową antiseptyką, sypialnie w postaci wielkich klatek, pawilon odosobniony dla chorych na zapalenie płuc, które, jak wiadomo, jest u ptaków, a zwłaszcza u papug zaraźliwe. Chorzy przybywają masami, a co rano właściciele ich otrzymują biuletyn o stanie pacyentów.

Sprawozdanie Towarzystwa Boskiego Zbawiciela. Towarzystwo Boskiego Zbawiciela (Salvatoryanie) założył obecny Generalny Przełożony O. Jordan w dniu 8 grudnia 1881 r. Celem jego jest chwała Boża, cześć Maryi i umacnianie bliźnich w wierze św. katolickiej. Aby owemu wzniosłemu celowi o ile tylko można pod każdym względem zadość uczynić, Towarzystwo postanowiło używać wszelkich dozwolonych i świętych środków, jako to: wewnętrzne i zewnętrzne misye, kazania, nauki, wychowywania młodzieży i współpracownictwo we wszystkich gałęziach umiejętności. Działalność swoją pragnie rozszerzyć po wszystkich krajach świata. Posiada ono w tej chwili 32 osady. Liczba księży wynosi 137, którzy pracują

tak w kraju jak i zagranicą w różnych misyach.

Dom macierzysty w Rzymie (Collegium Marianum Romanum, Borgo Vecchio 165) jest siedzibą głównego przełożonego i jego rządu nad wszystkiemi innemi kolegiami. Księża zamieszkali w Rzymie, trudnią się, oprócz zajęć domowych, obrzędami kościelnymi i duszpasterstwem w różnych kościołach i klasztorach wiecznego Miasta. Już od kilku lat, katedrę niemieckiego języka w papieskiem Seminaryum św. Apolinarego, zajmuje jeden z księży naszego Towarzystwa. W ciągu szeregu lat otrzymało 50 księży, którzy kształcili się w domu macierzystym, stopień doktorów św. Teologii, filozofii lub też prawa kanonicznego i cywilnego; przeszło 40 otrzymało prawo licencyi.

Jak dom macierzysty, tak też i inne znaczniejsze kolegia są zakładami kształcącymi młodszych członków Towarzystwa. Wielkie pole otworzyło się księżom w duszpasterstwie, albowiem w 16 językach pracują w różnych częściach świata. Niżej przytoczone daty statystyczne, z działalności Towarzystwa za rok ubiegły, mogą dać najlepsze pojęcie o jego pracy.

Św. Sakramentu pokuty udzielono przeszło 76.000 osobom; ochrzczono około 1680 dzieci, 106 dorosłych innowierców i 2 żydów; 43 heretyków przyjęto na łono św. Kościoła katolickiego; przygotowano 1780 dziatek do pierwszej Komunii św., a 1048 do przyjęcia Sakramentu św. Bierzmowania; z delegacyi apostolskiej bierzmowano 99 osób. W zeszłym roku wypowiedzieli księża 14000 kazań i mów. Oprócz duszpasterstwa pracują także nad wychowywaniem młodzieży, albowiem posiadają cztery domy wychowawcze z 160 uczniami. Nauczali prawd św. religii przeszło 7000 dziatek. Szczególnie też pracują księża Towarzystwa nad stowarzyszeniami młodzieńców, mężów i czeladników, i po części stoją na czele tychże stowarzyszeń.

Pisma peryodyczne Towarzystwa, razem wzięte wychodzą w 9000 egzemplarzach. Oprócz tego wydrukowała własna drukarnia Towarzystwa w Rzymie wiele innych pism w różnych językach. Księża, pracujący w a[illegible]lskiej prefekturze w Assanie (Indye w[illegible]nie), wydali kilka dzieł w mowie kas[illegible] i w zeszłym roku urządzili własną drukarnię.

Przy założeniu nowej osady w Welkenraedt w Belgii także urządzono drukarnię. Przew. O. Jordan założył nadto 8 grudnia 1788 r. zakon żeński. Działalnością zakonnic (sióstr) jest wychowywanie i nauczanie dzieci, zwłaszcza dziewcząt, pielęgnowanie chorych, opuszczonych starców itd. Dotychczas posiadają one 15 osad. Pod ich zarządem pozostają dwa szpitale, dwa przytuliska dla dziatek, trzy domy sierót, jeden pensyonat i kilka szkół. Związek Anielski dla dzieci (najwyżej 14 lat liczących) założono 8 grudnia 1884 r. Liczba jego członków wzrosła już do 20000. Dzieci te mają udział w apostolskich pracach Towarzystwa przez ich niewinne modlitwy. Przedewszystkiem zachęca się je do gruntownej znajomości prawd św. religii katolickiej, a zwłaszcza do wielkiej troskliwości o zachowanie ich najdroższego skarbu: niewinności serca. Pismo miesięczne: Manna dla dzieci, jest właśnie w tym celu dla nich redagowane i wydawane.

O głowę kapusty. Kwaterujący w Płocku 46 pułk perejesławski dragoński we wrześniu r. z. odkomenderowany został na postój do wsi Gać, należącej do gminy Młocińskiej w powiecie warszawskim.

Dnia 29 września o godz. 11 wieczorem dwaj szeregowcy wspomnianego pułku, po wzajemnem porozumieniu się pojechali na pole włościańskie po kapustę. Byli to Teodor Kuczumow i Teodor Gołowkin. Gdy dojechali do pola włościanina Jana Miecznikowskiego o wiorstę od wsi, zatrzymali się. Kuczumow zsiadł z konia, którego powierzył opiece Gołowkina i poszedł z workiem po kapustę, lecz zanim zdążył zabrać się do roboty, z za pagórka ukazało się czterech włościan z kijami i krzyczało: «łapaj złodzieja!»

Wystraszony koń Luczumowa wyrwał się wówczas z rąk Gołowkina i popędził w stronę wsi, a za nim w pogoń rzucił się i jego właściciel. Wkrótce jednak Kuczumow, widząc, iż konia dogonić nie zdoła, położył się na ziemi, spodziewając się, iż po nocy go nie zauważą. Biegnący jednak tropem uciekającego, dopadli go wkrótce i jeden z nich zamierzył się kijem na siedzącego na błoniu Gołowkina, lecz ten uciekł. Powróciwszy do koszar, Gołowkin nikomu nic nie powiedział o nocnej przygodzie, dopiero nazajutrz, gdy Kuczumowa w szeregu brakowało, wyznał wszystko wachmistrzowi Chłystunowi. Jednocześnie włościanie wsi Gać, Józef Ptasiński i Józef Kajszczak, przejeżdżając około lasu młocińskiego, dojrzeli w zaroślach zwłoki żołnierza, o czem natychmiast zawiadomili władzę policyjną.

Ekspertyza sądowo-lekarska ustaliła, że zmarłemu szeregowcowi Kuczumowi zadano dwie bezwarunkowo śmiertelne rany po lewej stronie głowy tępem narzędziem; mimo otrzymania powyższych ran, Kuczumow, zdaniem lekarzy biegłych, mógł o własnych siłach przejść 1.200 kroków.

Wszczęte skutkiem tego dochodzenie naprowadziło na ślad, iż w zabójstwie Kuczumowa brał udział włościanin wsi Gać, Wincenty Kajszczak, w którym też Gołowkin poznał jednego z kmiotków potykających się z Kuczumowem wówczas w polu.

Badany pierwotnie przez pomocnika naczelnika powiatu, Kajszczak zeznał, iż w wyprawie nocnej na pole brał on udział wraz z sąsiadami Janem Miecznikowskim, oraz Antonim i Józefem Grendzińskimi. Włościanie ci zeznali, iż od dłuższego czasu zauważyli, że złodzieje kradną kapustę z pola i postanowili ich złapać. Tego właśnie wieczora wpadli im w ręce dwaj żołnierze, z których jeden uciekł. Bojąc się, że zbieg sprowadzi pomoc, obaj Grendzińscy również uciekli do domu. W kapuście pozostał Kajszczak i Miecznikowski, oraz Kuczumow, który z szablą rzucił się na dwóch włościan. Ci ostatni, pragnąc wytrącić broń z rąk przeciwnika, dwukrotnie uderzyli go kijami. Kuczumow upadł. Co się stało potem — Kajszczak i Miecznikowski opowiedzieć nie mogli, gdyż bojąc się nadejścia żołnierzy, uciekli do domu.

Na podstawie tych danych, urząd prokuratorski pociągnął do odpowiedzialności sądowej 27 letniego Wincentego Kajszczaka i 29-letniego Jana Miecznikowskiego pod zarzutem, iż z rozmysłu, aczkolwiek w rozdrażnieniu i gniewie, zadali Kaczumowi dwie rany śmiertelne.

I. wydział karny sądu okręgowego, nie upatrując w ich czynie cech rozmysłu, skazał każdego z nich na 3 miesiące więzienia i pokutę kościelną. Gołowkina skazał wcześniej jeszcze sąd pułkowy za wyprawę nocną z bronią w celu kradzieży na 3 tygodnie aresztu i półtora roku rot aresztanckich.

Z rozmów poufnych. Na plantach na ławce dwaj niemłodzi już a poważnie wyglądający jegomościowie, siadają prawie jednocześnie na dwóch końcach ławki, oblanej światłem mało grzejącego słońca kwietniowego. Ponieważ zaś człowiek jest zwierzęciem z urodzenia i wychowania towarzyskiem, przeto po chwili panowie zaczynają się przysuwać do siebie i powoli rozpoczynają rozmowę.

— Piękny czas.

— Piękny czas, ale w słońcu. W cieniu jeszcze mrożą boreasze.

Nie zna pan dobrodziej przypadkiem mieszkania suchego, ciepłego, dobrze rozłożonego i niekosztownego?

— O, takiego, przyznam się panu dobrodziejowi, nie znam, bo gdybym znał, tobym sam wziął i to natychmiast.

— To pan także szuka mieszkania?

— A tak. Ale jakoś trudno o przyzwoite mieszkania. Nie dlatego, abym miał powstawać na właścicieli kamienic. Broń Boże! Każdy przecież ma prawo wyciągnąć jak największy dochód ze swej własności. Ale doprawdy niekiedy aż się zimno robi na widok sumy komornego.

— A tak, tak... Cóż na to poradzić? Właściciele domów nie są nic winni, bo i oni dźwigają ciężary ogromne.

Co najgorsza, że przeprowadzać się muszę co kwartału, bo trafiam na coraz gorsze mieszkania. To ciemne, to wilgotne, to od miasta za odległe...

To zupełnie tak, jak ja. Panie! co ja się tym kantorom przewozowym napłaciłem za przeprowadzki! A irytuje to mnie tem więcej, iż, przyznam się panu dobrodziejowi, ja sam mam tu niedaleko kamieniczkę, ale nie mogę w niej mieszkać, bo mieszkania tam są dla mnie... za drogie.

— Panie! — woła jegomość drugi — to zupełnie tak, jak ja! I ja mam niedaleko kamieniczkę, ale nie mogę w niej mieszkać, bo mieszkania tam są dla mnie za... drogie.

No proszę! jakie dziwne spotkanie. — Góra z górą się nie zejdzie, ale właściciel kamienicy z właścicielem kamienicy zawsze.

Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Mosch.